

ISIL ginie, rozgrywka trwa. Mosul i co dalej?

4 listopada 2016

Irackie jednostki specjalne wkroczyły w granice Mosulu 1 listopada wczesnym rankiem. Posuwały się do przodu, zupełnie dosłownie, po masowych grobach ofiar zbrodni Państwa Islamskiego. Gdy bowiem jedni dżihadyści uciekali, inni – zanim poszli w ślady kolegów – jeszcze nieśli śmierć i zniszczenia.

Powszechną praktyką jest podpalanie szybów naftowych. 22 października terroryści podłożyli ogień pod nieodległe od Mosulu zakłady przetwarzania siarki Al-Miszrak, wywołując toksyczne opary, wskutek których przynajmniej tysiąc osób zostało poszkodowanych, a to, że zmarły tylko dwie, zakrawa na cud. Takiego szczęścia nie miało około 300 osób przetrzymywanych w więzieniu w wiosce Muszajrifa na północ od Mosulu, których terroryści 31 października rozstrzelali. Materiał z egzekucji wylądował w internecie niemal w tym samym czasie, gdy premier Iraku Hajdar al-Abadi apelował do bojowników ISIL „Poddajcie się. Nie macie drogi wyjścia, drogi ucieczki. Poddajcie się, albo zginiecie”. Nie poddali się, chociaż słowa al-Abadiego tym razem nie były czczymi pogrózkami. Liczbę bojowników potencjalnie mogących bronić Mosulu szacuje się w granicach 3-8 tys. osób, z tego tysiąc zagranicznych ochotników. Nawet jeśli przyjąć szacunek z tych wyższych, to żołnierzy irackich, kurdyjskich peszmergów i członków szyickich milicji, Sił Mobilizacji Ludowej, jest pięć razy więcej.

1 listopada pierwsze oddziały irackich sił specjalnych, wspierane z powietrza przez Amerykanów, wchodząc do wschodniej dzielnicy Mosulu Gogdżali napotkały zacięty opór. Pożary stosów opon miały utrudnić samolotom koalicji bombardowanie pozycji terrorystów, na dachach czyhali snajperzy, na ulicach

– samochody-pułapki. Dżihadyści uzbrojeni byli m.in. w sprzęt przeciwpancerny. Nie inaczej było w części południowej. Żołnierze elitarnej irackiej Złotej Dywizji, by posuwać się naprzód, musieli stoczyć kilkanaście ulicznych starć. Doniesienia irackich mediów o ostatecznych efektach walk były sprzeczne – jeśli we wtorek donoszono, że w Gogdżali nie ma już terrorystów, a większość z nich zgrupowała się w zachodniej części miasta, to dzień później ponownie informowano o zaciętych bojach w tej właśnie części miasta. Pewne było jedynie opanowanie przez żołnierzy znajdującego się w tej dzielnicy budynku telewizji i uchwycenie symbolicznego na razie przyczółku w dzielnicy Dżudajat al-Mufti. Równie sprzeczne doniesienia dotyczyły najbardziej poszukiwanych terrorystów, w tym samozwańczego kalifa Abu Bakra al-Baghdadiego i jego najbliższych doradców i sztabowców. Al-Baghdadi jest w Mosulu, zapewniał w poniedziałek Fu'ad Husajn, szef sztabu kurdyjskich oddziałów wiernych Masudowi Barzaniemu. Co innego mówi część amerykańskich generałów. – Widzieliśmy, jak przywódcy Da'isz wyjeżdżają z Mosulu – powiedział tego samego dnia Gary Volesky, dowódca lądowej części amerykańskiego kontyngentu, zapewniając jednak od razu, że terroryści zostaną szybko wytropieni.

Wczoraj dowódca irackich wojsk specjalnych gen. Hajdar Fadil powiedział, że jego oddziały nie mogły posunąć się dalej i nie podejmowały w ciągu dnia żadnych działań zaczepnych z powodu fatalnej pogody, uniemożliwiającej działania amerykańskich samolotów i dronów. Te mają znaczenie absolutnie podstawowe. Krótko mówiąc, bez bombardowań ani rusz, i nikt się w przypadku Mosulu nie zastanawia, ile padło w ich trakcie przypadkowych ofiar, czy nie zniszczono cywilnej infrastruktury. Przedstawiane przez Amerykanów raporty ograniczają się do wskazania liczby zabitych dżihadystów: 29 zabitych, 25 rannych w dzielnicy Ghabat, 10 zabitych i 15 rannych w miejscu, które typuje się jako naczelny sztab ISIL w mieście, 67 zabitych, głównie bojownicy zagraniczni, w hotelu. Straty własne – zerowe lub bliskie zera.

Ponieważ jednak wojskowi świetnie zdają sobie sprawę z tego, jak przebiega wojna w mieście, opinię publiczną przygotowuje się już do przyjęcia bardziej dramatycznych doniesień (jeśli okażą się konieczne). Mosul – w odróżnieniu od miast w Syrii – jest przecież zdobywany przez siły dobra, no, może pewne zastrzeżenia można mieć do szyickich milicji, ale tym wyznaczono w ofensywie rolę ważną, ale nie pierwszoplanową. Tymczasem w mieście jest milion-półtora miliona cywilów, organizacja Save the Children twierdzi, że nawet 600 tys. z nich ma mniej niż 18 lat. Straty i masowy exodus są nie do uniknięcia. Dlatego już słyszymy, także z usta samego prezydenta Obamy, że bitwa będzie trudna, ale tak po prostu być musi, w końcu Państwo Islamskie kontroluje Mosul od dwóch z górą lat. Trzeba pamiętać, powtarzają wszystkie media, że ISIL cynicznie posługuje się cywilami jako żywymi tarczami, ukrywa swoich bojowników wśród niewojskowej infrastruktury, wśród zwykłych ludzi. To zresztą akurat prawda, fundamentaliści islamscy, nie tylko z tej akurat organizacji, udowodnili już to nie raz. Akurat w wypadku Mosulu nie ma politycznych przeciwwskazań, by proceder nazwać po imieniu i napiętnować. Organizacje humanitarne zabierają głos, wzywają do wszechstronnej pomocy cywilom, w tym w pierwszej kolejności do otwarcia korytarzy humanitarnych. Inaczej niż niedawno w Aleppo, będzie to w ocenie Amerykanów krok chwalebny i motywowany troską o prostych ludzi, a nie „próba dokonania przymusowych przesiedleń”.

Nawet jeśli – przy wszystkich nieuniknionych stratach – wzięcie Mosulu to mimo wszystko kwestia czasu, nawet liczonego w tygodniach czy miesiącach, walkę ze słabnącym w oczach ISIL mogą utrudnić zgoła inne czynniki niż ciężki sprzęt w rękach terrorystów (zdobyty na „umiarkowanych” opozycjonistach w Syrii, zbrojonych przez sojuszników USA i samą Amerykę, lub też przez tychże sojuszników swojego czasu darowany). Tli się konflikt w łonie samej koalicji otaczającej miasto – do ostatniej chwili przed jej startem Amerykanie i sunniccy politycy w Iraku czynili starania, by wyeliminować z operacji

szyckie milicje, oczywiście z ulubionym „humanitarnym” uzasadnieniem swoich zastrzeżeń. USA z wielką niechęcią muszą od jakiegoś czasu godzić się z istnieniem w Iraku poważnej formacji szkolonej i dowodzonej przez oficerów z irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, uznającej za swoich naczelnych wodzów przywódców irańskich, nie irackich. Po kompromitacji irackiej armii regularnej w 2014 r., gdy owa wyszkolona pod amerykańskim okiem siła zwyczajnie pierzchnęła przed Państwem Islamskim m.in. z Mosulu, Amerykanie nie mogli zażądać od szyckiego rządu Iraku, by zabronił swoim współwyznawcom organizowania się, jakby nie patrzeć, w obronie własnej. Wkład Sił Mobilizacji Ludowej w wyzwolenie Tikritu, Ramadi i Al-Falludży z rąk ISIL jest niezaprzeczalny, jednak w bitwie o Mosul zasadniczo brać udziału nie miały, by ich znaczenie i prestiż jeszcze nie wzrosły.

Tymczasem milicje w sobotę rozszerzyły zakres swoich działań, nie tylko wyzwalaając kolejne wioski na zachód od Mosulu, ale i staczając poważną i zakończoną wczoraj powodzeniem walkę z terrorystami o kontrolę nad jedną z głównych dróg wiodących z Mosulu w kierunku granicy z Syrią i dalej na tereny zajmowane jeszcze przez ISIL. Stawia to pod znakiem zapytania aprobowany już przez Amerykanów plan, by nie okrążyć bojowników całkowicie, pozostawić im drogę odwrotu na pustynię lub do Syrii, by – taka przynajmniej jest wersja oficjalna – ostatecznie zniszczyć Państwo Islamskie dopiero w bitwie o Ar-Rakkę. Nietrudno się domyślić, że przed taką bitwą fundamentaliści złapałiby chwilę oddechu, a skupiwszy się na Syrii – skomplikowałiby sytuację zwalczanego przez USA Baszszara al-Asada i jego sojuszników. Nietrudno się również domyślić, że taki rozwój wypadków byłby skrajnie nie po myśli Iranu, prawdziwego twórcy Sił Mobilizacji Ludowej, któremu zależy zarówno na zniszczeniu sunnickiego fundamentalizmu w Iraku, jak i na przetrwaniu przyjaznego rządu w Damaszku. Przywódcy Sił Mobilizacji Ludowej już zapowiedzieli, że na blokowaniu wyjścia z Mosulu się nie skończy – po upadku miasta zamierzają ścigać dżihadystów także w Syrii, aż do

ostatecznego zwycięstwa.

Rozwój sytuacji pod Mosulem jest również średnio w smak Turcji. W Ankarze nie będą bronić ISIL, chociaż długo i bez skrupułów sprowadzano właśnie stamtąd ropę po zaniżonych cenach i chociaż uznawano fundamentalistów do pewnego momentu za nietypowe, ale skuteczne narzędzie ingerowania w sprawy sąsiadów. Wzrost znaczenia Iranu za sprawą szyickich milicji, a jeszcze bardziej wzrost znaczenia Kurdów, których bojownicy są bodaj największymi bohaterami wojny z ISIL w żadnym wypadku nie są tureckiemu rządowi na rękę. Ankara skierowała zatem nad granicę z Irakiem czołgi i artylerię, argumentując, że jako uczestnik koalicji przeciwko Państwu Islamskiemu ma prawo dołożyć swoją cegiełkę do zdobycia Mosulu. „Przy okazji” ostrzegła, że zainterweniuje, jeśli szyickie milicje zajęłyby położone na zachód od stolicy prowincji Niniwa Tall Afar, zamieszkiwane głównie przez wyznających islam sunnicki Turkmenów. Reakcja irackiego premiera była zdecydowana – Hajdar al-Abadi oznajmił, że przekroczenie granicy potraktuje jako zwyczajną agresję. Na znanych z bezczelności politykach z Ankary nie zrobił jednak wrażenia. Wicepremier Turcji pouczył szefa bagdadzkiego rządu, że doprowadzając sunnitów z szyitami ryzykuje wniecenie walk na tle wyznaniowym i etnicznym od Iranu po Turcję i Liban. W sytuacji, gdy Bliski Wschód, w znacznej mierze przy udziale Turcji, już jest w takich walkach pogrążony, brzmiałoby to groteskowo, gdyby nie było tragiczne dla setek tysięcy ludzi. Ich los podczas rozgrywek mocarstw liczy się najmniej.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu